

Dlaczego miałbym wsadzać kij w mrowisko?

Pod koniec roku 1981 Gospel for Asia zaczęła zyskiwać akceptację. Ludzie z całych Stanów Zjednoczonych i Kanady włączali się w służbę wyposażania krajowych misjonarzy do ogłoszenia Ewangelii swoim narodom. Gisela i pracownicy naszego biura w Dallas łączyli naszych nowych sponsorów z krajowymi misjonarzami. Czułem prowadzenie od Pana, by zaplanować podróż do czternastu miast w Teksasie, aby spotkać się osobiście z nowymi sponsorami. Telefonowałem wcześniej, przedstawiałem się i dziękowałem za podjęcie się sponsorowania krajowego misjonarza. Byłem zdumiony reakcją. Większość z tych ludzi słyszała, jak przemawiałem w radio, i była bardzo poruszona możliwością spotkania się ze mną. W każdym mieście miałem propozycję gościny i przemawiania na spotkaniach domowych i w zborach. Ludzie odnosili się do mnie w nowy sposób – jako do prezydenta i dyrektora ważnej organizacji misyjnej. Nie było to wcale przyjemne. Byłem bardziej przestraszony niż kiedykolwiek. Bałem się, że zawiodę lub zostanę odrzucony. Mając już poumawiane spotkania, wraz z zaproszeniami, zacząłem odczuwać nieracjonalny strach. Ogarnęło mnie zmęczenie.

Gdy zbliżał się dzień mojego wyjazdu, zacząłem poszukiwać wymówek, by odwołać wszystko lub odłożyć to na później. Mówiłem: „Moja rodzina i biuro misji potrzebują mnie bardziej. Poza tym, będę sam w samochodzie. To będzie niebezpieczne i trudne. Powinienem poczekać, aż ktoś będzie mógł jechać ze mną”. Kiedy już prawie przekonałem siebie, by nie jechać, podczas porannej modlitwy Pan przemówił do mnie głosem, którego nie mógłbym pomylić z żadnym innym. Podobnie jak w innych sytuacjach, było to tak, jakby był ze mną w pokoju. Pan powiedział, używając słów z dziesiątego rozdziału Ewangelii Jana: „Owce moje głosu mojego słuchają i Ja znam je, a one idą za mną”. Nie potrzebowałem interpretacji. Przesłanie było jasne. Ten wyjazd był nakazany przez Niego. On zorganizował go i otworzył drzwi. Powinienem wyobrazić sobie siebie jako małą owieczkę i przejść każdą milę za moim Pasterzem. On pójdzie przede mną do każdego zboru i domu, w którym się zatrzymam. Okazało się, że były to niesamowite dwa tygodnie. W każdym domu i zborze doświadczyłem wspaniałej wspólnoty z nowymi przyjaciółmi – i w jej rezultacie przyłączyła się do nas pewna liczba nowych sponsorów.

Zbór w Victorii był moim prawie ostatnim miejscem, a Pan przygotował mi tam niespodziankę. Ale najpierw musiał mnie na nią przygotować. Gdy pokonywałem trasę od jednego miasta do następnego, miałem w samochodzie czas z Panem, który zajął się kilkoma problemami we mnie, co miało wpłynąć na przyszłość naszej misji i moje życie z Nim.

Jedna sprawa dotyczyła decyzji, która miała wpłynąć na nasz sposób działania przez wiele następnych lat. Była to jedna z najważniejszych decyzji, jakie w tej dziedzinie podjąłem. Od kilku lat cierpiełem głęboki ból z powodu poważnego braku równowagi, jaki widziałem pomiędzy naszą aktywnością w utrzymywaniu chrześcijańskich instytucji, jak szpitale i szkoły, a głoszeniem Ewangelii. Tak w Indiach, jak i w krajach zachodnich stale napotykałem na koncentrację na tak zwanych „służbach”, prowadzonych przez chrześcijańskich pracowników i finansowanych z pieniędzy kościoła, które poza tym w żaden sposób nie wyróżniały się jako chrześcijańskie.

Zdecydowanie zbyt wiele środków misji z Ameryki Północnej przeznaczanych jest na sprawy nie związane z głównym celem zakładania zborów. Wagner, w swojej książce „On the Crest of the Wave” stwierdza: „Mam przed sobą świeżą listę możliwości służby w (...) organizacji misyjnej, której nazwy nie ujawnimy. Spośród pięćdziesięciu różnych kategorii tylko dwie związane są z głoszeniem Ewangelii, obie wśród młodzieży. Pozostałe kategorie to między innymi: agronomowie, nauczyciele muzyki, pielęgniarki, mechanicy samochodowi, sekretarki, wykładowcy elektroniki i ekolodzy”.²⁰

Troska społeczna to naturalny owoc Ewangelii. Ale stawianie go na pierwszym miejscu to stawianie wozu przed konia. Na podstawie doświadczenia możemy stwierdzić, że nie przyniosło to owocu w Indiach przez ponad dwieście lat. Była to próba wyłącznego skoncentrowania się na widocznych potrzebach społecznych. Choć rozumiałem, że troska o biednych jest nierozdzielnie związana z naturą Ewangelii, wiedziałem, że priorytetem jest danie ludziom Ewangelii. Zaspokajanie ich potrzeb jest środkiem do podzielenia się z nimi miłością Chrystusa, aby mogli być zbawieni na wieczność. Nie poszedłem tą drogą, ale nie dlatego, żebym uważał, że inne chrześcijańskie organizacje charytatywne i misje współczucia robią źle okazując miłość Chrystusa. Nie, wiele z nich wykonuje wspaniałą pracę. Czułem jednak, że lokalny zбір powinien być punktem centralnym działalności i że powinniśmy przywrócić równowagę.

Nie powiedziałem nikomu publicznie o mojej decyzji. Wiedziałem, że ten temat będzie kontrowersyjny i bałem się, że ludzie będą myśleć, że osądzam innych, jestem nastawiony wojowniczo, reakcyjnie lub jestem fanatykiem. Chciałem jedynie pomóc ruchowi krajowych misjonarzy, więc uważałem, że wdawanie się w spory na temat strategii misyjnej byłoby szkodliwe.

I wtedy przyjechałem do Victorii w Teksasie. Moja prezentacja przebiegła bez problemów. Pokazałem slajdy GFA i poprosiłem gorąco o wsparcie naszej pracy. Wyjaśniłem zasady naszej służby, podając biblijne powody tego, że ludzie w Azji są zgubieni, jeżeli nie pójdą do nich krajowi misjonarze. Nagle poczułem, że Duch każe mi powiedzieć o niebezpieczeństwach humanistycznej ewangelii społecznej. Zatrzymałem się na chwilę, ale potem mówiłem dalej – nie wspominając o tym. Nie miałem odwagi. Mógłbym sobie wszędzie narobić wrogów. Ludzie myśleliby, że jestem pozbawionym miłości głupcem, że szkodzę pracy chrześcijańskiej, nie obchodzą mnie głodni, nadzy, potrzebujący i cierpiący. Dlaczego miałbym wsadzać kij w mrowisko? Udało mi się dojść do końca prezentacji. Z poczuciem ulgi poprosiłem o pytania. Duch Święty jednak nie skończył jeszcze ze mną. Z tyłu sali wstał wysoki mężczyzna i zaczął iść powoli do przodu. Wydawał mi się coraz większy i większy. Nie wiedziałem, kim on jest ani co może powiedzieć, ale instynktownie czułem, że posłał go Bóg. Gdy doszedł do mnie, objął moje kościste ramiona i powiedział słowa, które do dzisiaj brzmią w moich uszach: „Ten człowiek tutaj, nasz brat, boi się powiedzieć prawdę... I toczy z tym wewnętrzną walkę”. Poczułem, jak palę się cały ze wstydu. Skąd ten wielki kowboj wiedział o tym? Ale to nie było wszystko. Miałem zobaczyć dowód, że Duch żywego Boga naprawdę używa tego wysokiego Teksasńczyka, aby dać mi potężne potwierdzenie i naganę. Mężczyzna kontynuował: „Pan poprowadził cię drogami, którymi nie szli inni, i pokazał ci rzeczy, których inni nie widzieli. Chodzi o los milionów dusz. Musisz powiedzieć prawdę o złych priorytetach na polach misyjnych. Musisz wezwać Ciało Chrystusa do powrotu do zadania głoszenia zbawienia i wyrwania dusz z piekła”.

Czułem się jak kompletne zero, a jednak było to bez wątpienia cudowne proroctwo, natchnione przez Boga, potwierdzające zarówno moje nieposłuszeństwo, jak i przesłanie, do którego głoszenia – bez strachu – powołał mnie Bóg. Ale moje upokorzenie i wyzwolenie jeszcze nie były skończone. Człowiek mówił dalej: „Pan powiedział mi, żeby poprosić starszych, żeby przyszli tutaj i modlili się za ciebie, żeby wyszedł z ciebie ten strach przed człowiekiem”. Nagle poczułem jeszcze gorzej niż zero. Zostałem przedstawiony jako wielki przywódca misyjny, a teraz czułem się jak mała owieczka. Chciałem się bronić. Nie uważałem, że jestem pod władzą ducha strachu; sądziłem, że jedynie postępuję logicznie, chroniąc dobro naszej misji. Ale uległem, czując się nieco głupio, gdy starsi zgromadzili się dookoła mnie, aby modlić się o namaszczenie mocą dla mojej służby. Coś się stało. Poczułem, jak otacza mnie moc Boga. Kilka minut później wstałem z kolan jako przemieniony człowiek, uwolniony od więzów strachu, które mnie krępowały. Wszystkie wątpliwości odeszły: Bóg umieścił w moim sercu troskę o przekazanie tego przesłania.

Od tego dnia nauczam, że powinniśmy odzyskać autentyczną Ewangelię Jezusa – zrównoważone przesłanie Nowego Testamentu, które nie zaczyna się od cielesnych potrzeb ludzi, ale od planu i mądrości Boga – nawrócenie przez „narodzenie się na nowo”, prowadzące do sprawiedliwości, uświęcenia i odkupienia. Każda „misja”, która wypływa z „podstawowych rzeczy tego świata”, jest zdradą Chrystusa, a Biblia nazywa ją „inną ewangelią”. Nie może ona zbawić i odkupić ani jednostki, ani społeczeństwa. Głosimy Ewangelię nie jedynie na czas obecny, ale dla wieczności.

Jedyny problem w przypadku półprawd polega na tym, że zawierają one w sobie pełne kłamstwa. Tak jest w przypadku poniższej deklaracji wydanej w roku 1928 na Jerusalem Conference of the International Missionary Council: „Nasi ojcowie żyli pod wpływem przerażającego losu ludzi, którzy umierają bez Chrystusa; my jesteśmy pod równie silnym wpływem przerażającego losu tych, którzy żyją bez Chrystusa”. Z takich wypowiedzi – zazwyczaj wygłaszanych z pasją przez coraz większą liczbę autentycznych humanistów w naszych zborach – wywodzi się całe mnóstwo światowych programów społecznych. Wysiłki te w rzeczywistości pozbawiają zbawienia i prawdziwego odkupienia ludzi biednych – skazując ich na wieczność w piekle. Oczywiście, jest jakaś podstawowa prawda w tym stwierdzeniu. Życie na ziemi bez Chrystusa oznacza przerażającą pustkę, pozbawioną sensu i nadziei. Ale ukryte jest w niej też subtelne humanistyczne kłamstwo, które stawia na pierwszym miejscu dobrobyt obecnego życia.

Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że nauczanie to wyrosło z wpływu humanistów z dziewiętnastego wieku, tych samych ludzi, którzy dali nam ateizm, komunizm i wiele innych współczesnych filozofii, które zaprzeczają suwerenności Boga w sprawach ludzi. Biblia nazywa ich „antychrystami”. Współczesny człowiek nieświadomie stawia na pierwszym miejscu humanistyczne ideały szczęścia, wolności oraz gospodarczego, kulturalnego i społecznego postępu ludzkości. Według tego świeckiego poglądu nie ma Boga, nieba ani piekła; jest tylko jedna szansa w tym życiu, a więc rób to, co czyni cię najbardziej szczęśliwym. Naucza on także, że „ponieważ wszyscy ludzie są braćmi”, powinniśmy pracować dla poprawy sytuacji wszystkich ludzi. Nauczanie to, tak atrakcyjne na powierzchni, weszło wieloma drogami do naszych zborów, tworząc skoncentrowaną na człowieku i zbudowaną przez człowieka ewangelię, zmierzającą do przemiany statusu społecznego ludzi przez zaspokajanie ich potrzeb fizycznych. Ceną, którą trzeba zapłacić, jest jego wieczna dusza.

Tak zwana humanistyczna ewangelia – która w rzeczywistości nie jest wcale żadną „dobrą wiadomością” – posiada wiele imion. Niektórzy bronią jej używając znanego nam słownictwa biblijnego i teologicznego; niektórzy nazywają ją „ewangelią społeczną” lub „ewangelią holistyczną”, ale nazwa nie jest ważna. Możesz rozpoznać ewangelię humanistyczną po tym, że nie uznaje ona, iż podstawowy problem ludzkości ma charakter duchowy, a nie materialny. Humanista nigdy nie powie ci, że grzech jest podstawową przyczyną wszelkiego ludzkiego cierpienia. Ostatnie hasła tego ruchu rozpoczynają się od twierdzenia, że powinniśmy prowadzić działania misyjne zapewniające „troskę o całego człowieka”, kończą jednak na pomocy jedynie dla ciała i psychiki – zapominając o duchu.

Z powodu tego nauczania wiele zborów i towarzystw misyjnych przekierowuje obecnie swoje ograniczone fundusze i personel, odsuwając go od działań ewangelizacyjnych do mgliście określanych „kwestii społecznych”. Dzisiaj większość chrześcijańskich misjonarzy zajmuje się głównie karmieniem głodnych, troską o chorych przez szpitale, budowaniem domów dla bezdomnych i innymi rodzajami działalności humanitarnej i rozwojowej.

W skrajnych przypadkach, poza misjami ewangelicznymi, logiczny kierunek, do jakiego może prowadzić takie myślenie, to organizowanie sił partyzanckich i podkładanie bomb terrorystycznych, a w mniej skrajnych – sponsorowanie lekcji tańca i zajęć aerobiku. Robi się to w imieniu Jezusa i rzekomo ma to być oparte na Jego przykazaniu, by iść na cały świat i głosić Ewangelię wszelkiemu stworzeniu. Misją Kościoła, według definicji humanistów, może być niemal wszystko – z wyjątkiem pozyskiwania ludzi dla Chrystusa i czynienia ich Jego uczniami.

Historia już nam pokazała, że ta „ewangelia” – bez krwi Chrystusa, nawrócenia się i krzyża – jest całkowitą klęską. W Chinach i Indiach mieliśmy siedem pokoleń takiego nauczania, przyniesionego przez brytyjskich misjonarzy w nieco odmiennej formie w połowie dziewiętnastego wieku. Mój naród patrzył, jak angielskie szpitale i szkoły powstawały i upadały – bez zauważalnego wpływu na nasze zbory i społeczeństwo.

Watchman Nee, jeden z pierwszych chińskich krajowych misjonarzy, wskazywał na ten problem w serii wykładów wygłoszonych przed drugą wojną światową. Przeczytaj niektóre jego uwagi co do takich działań, zapisane w książce „Love not the World”:

Gdy rzeczy materialne znajdują się pod duchową kontrolą, spełniają swoją właściwą, służebną rolę. Uwolnione spod niej, bardzo szybko ujawniają moc, która kryje się za nimi. Do głosu dochodzi prawo ich natury, a ich światowy charakter udowodniony zostaje przez kierunek, który przyjmują. Rozwój działalności misyjnej w naszych obecnych czasach daje nam możliwość sprawdzenia tej zasady w religijnych instytucjach naszych czasów i naszego kraju. Ponad sto lat temu Kościół postanowił zbudować w Chinach szkoły i szpitale z wyraźnym celem duchowym i ewangelizacyjnym. W tych wczesnych dniach nie przywiązywano wielkiej wagi do budynków, natomiast podkreślano rolę tych instytucji dla głoszenia Ewangelii. Dziesięć czy piętnaście lat temu mogłeś udać się na te same tereny i znaleźć w wielu miejscach większe i doskonalsze instytucje, ale w porównaniu z poprzednimi latami – o wiele mniej ludzi nawróconych. Dzisiaj wiele z tych wspomniałych szkół i uczelni przekształciło się w zwyczajne ośrodki edukacyjne, całkowicie pozbawione jakiegokolwiek prawdziwego motywu związanego z głoszeniem Ewangelii. W niemal równym stopniu wiele szpitali istnieje dzisiaj jedynie jako miejsca leczenia ciała, bez leczenia ducha. Ludzie, którzy je zakładali, poprzez swoje bliskie życie z Bogiem utrzymywali je w zgodzie z Bożymi zamiarami, ale gdy oni odeszli, instytucje te same z siebie zaczęły szybko zmierzać ku światowym normom i celom, a czyniąc to same sklasyfikowały siebie jako „rzeczy tego świata”. Nie powinno nas dziwić to, że tak się dzieje.

Nee kontynuuje ten temat, tym razem omawiając problem pomocy humanitarnej dla cierpiących:

W pierwszych rozdziałach Dziejów czytamy o tym, jak powstała potrzeba, która doprowadziła kościół do ustanowienia pomocy dla biedniejszych świętych. Ta instytucja służby społecznej została pobłogosławiona przez Boga, ale miała charakter tymczasowy.

Czy wołasz: Jak dobrze byłoby, gdyby przetrwała? Tak może powiedzieć tylko ktoś, kto nie zna Boga. Gdyby te środki pomocy były przedłużone w nieskończoność, na pewno zwróciłyby się w kierunku świata, gdy duchowy wpływ działający u ich powstania zostałby usunięty. To jest nieuchronne.

Istnieje bowiem różnica między Kościołem budowanym przez Boga z jednej strony, a z drugiej strony tymi wartościowymi społecznymi i charytatywnymi produktami ubocznymi, które od czasu do czasu wyrastają z niego przez wiarę i wizję jego członków. Te drugie, pomimo całego swojego pochodzenia z duchowej wizji, posiadają w sobie moc niezależnego przetrwania, której Kościół Boży nie posiada. Są to dzieła, które wiara Bożych dzieci może inicjować i po pioniersku prowadzić, ale kiedy droga zostanie pokazana i ustanowiony zostanie profesjonalny standard, mogą one być podtrzymywane lub naśladowane przez ludzi tego świata zupełnie niezależnie od wiary.

Pozwólcie, że powtórzę: Kościół Boży nigdy nie przestaje być zależny od Boga w swojej kontynuacji.²¹

Problem z ewangelią społeczną, nawet jeżeli jest ona ubrana w religijne szaty i działa w chrześcijańskich instytucjach, leży w tym, że stara się ona toczyć walkę duchową przy pomocy środków cielesnych. Nie walczymy przeciw ciału i krwi ani przejawom grzechu, jak bieda i choroby. Toczmy bitwę z Lucyferem i niezliczonymi demonami, które dzień i noc wysilają się, by skierować ludzkie dusze ku wieczności bez Chrystusa.

Choć chcielibyśmy zobaczyć setki i tysiące nowych misjonarzy we wszystkich mrocznych miejscach, jeżeli oni nie będą wiedzieli, co mają robić, rezultaty będą fatalne. Musimy wysłać żołnierzy do bitwy z właściwą bronią i znajomością taktyki wroga.

Jeżeli zamierzamy rozwiązać największy problem człowieka, jego oddzielenie od wiecznego Boga, poprzez rozdawanie ryżu, to postępujemy tak, jakbyśmy tonącemu człowiekowi rzucali deskę, zamiast pomóc mu wydostać się z wody.

Duchowa bitwa toczona przy użyciu duchowej broni doprowadzi do wiecznych zwycięstw. Dlatego wzywamy do przywrócenia właściwej równowagi w działalności misyjnej. Priorytetem musi być zawsze głoszenie Ewangelii i czynienie uczniów Chrystusa.

20 C. Peter Wagner, *On the Crest of the Wave* (Ventura, CA: Regal Books, 1983), s.150.

21 Watchman Nee, *Love Not the World* (Fort Washington, PA: CLC, 1968), ss. 23–24.

Rozdział z książki:

Rewolucja Misyjna, K. P. Yohannan, przygotowywanej do wydania przez Wydawnictwo POJEDNANIE
Wykorzystano za zezwoleniem Wydawnictwa POJEDNANIE.